

Pawlikowice — Kopanie ziemniaków.

NASZE ŻYCIE

NUMER 8. PAŹDZIERNIK ROK 1936.

HASŁO MŁODYCH!

Przywiązanie do ziemi ojczystej zależy na tym, żebyś życzył dobrze ziomkom każdej klasy i całemu narodowi w ogólności, ażebyś zachowywał zbawienne ojców obyczaje, kochał mowę rodowitą i jej się uczył, rozpamiętywał cnoty i dzieła przodków, i to stosownie do sił twoich i powołania starał się naśladować.

JÓZEF JEŻOWSKI
filareta.

TREŚĆ MIESIĘCZNIKA:

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca", Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95.

Rok XIII. Nr. 8.

Październik

1 9 3 6.

NASZE ŻYCIE

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY MŁODZIEŻY ZAKŁADÓW WYCHOW. TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA“ POD REDAKCJĄ: KS. EDWARDA TOMZY

Zakład Wychow. w Pawlikowicach, p. Wieliczka.

Konto czekowe P. K. O. 404.854.

Telefon 54.

Nasze życie.

Ósmy to z kolei numer „Naszego Życia“. Zgodnie z założeniami ideowymi, skreślonymi w pierwszym numerze „Naszego życia“, staraliśmy się przede wszystkim o to, by pisemko nasze ilustrowało życie wychowanków Zakładów ks. Bronisława Markiewicza.

Oddała tedy Redakcja „Naszego Życia” białe karty pisemka wychowankom, by oni zapełnili je kolumnami druku, któryby zawierał ich myśli i uczucia.

W szeregach młodzieży zakotłowało. Ten i ów począł próbować swych sił literackich — jeden sięga po wiersz, drugi po prozę, ale wszystkim przyświeca cel ten sam, by dać znać „światu“ o sobie. To, co bywało udręką dnia codziennego, zaczyna młodzież napawać dumą, — twarda młodość pędzona w zakładach to już nie dolegliwość, ale przekonanie, że to prosta droga do życiowego szczęścia.

Role podzielone zostały w ścisłym uzależnieniu od charakteru młodych. Dowcipnisie i śmieszkowie zakładowi poczęli przedstawiać to życie z własnego punktu widzenia. Cóż jest tak silne jak młodość i uśmiech? — one, w sposób najczęściej niewinny — umieją spojrzeć w oczy śmiało największej nawet i uznanej ogólnie powadze — i ...uśmiechnąć się.

Redakcja została zasypana wywiadami, których celem uśmiech własny i tych, którzy czytać zechcą „Nasze Życie“. Za wywiadami idzie humor i taki, który pisze się przez h i taki, który utrwalano na papierze literą „ch“.

Ci, co spieszą do Redakcji z humorem, są najczęściej otwarci, nie wstydzą się swego rzemiosła literackiego, które poczytują za jeden z wybryków swej bujnej młodości. Gorzej z tymi, co w ukryciu przyoblekają łzawą myśl, czy nadwrażliwe serca w formę nowelki, czy elegii. Ci są najczęściej skryci, autorstwo swe pokrywają tajemniczymi pseudonimami, do skrzynki „Naszego Życia“ skradają się niespostrzeżenie — spowiedną swoją szczerość kładą niemal między grzechy.

Są i inni młodzi redaktorzy „Naszego Życia“, kotłują się im w młodych główkach ideały

szerokie, piszą coś, coby można chrzcić mianem manifestów do Narodu — wołają o potrzebę ideału, a choć to wszystko często bywa nieudolne i w rezultacie składane na dno kosza redaktorskiego, to jednak trudno się oprzeć szczerej zadumie i przekonaniu, że przez nieudolną formę tętni szerokie, młodzieńcze serce.

Są wreszcie i tacy, którym ciagle w „Naszym Życiu" za mało sportu, ci nachodzą Redakcję z kronikami sportowymi, z notatkami o Olimpiadzie i domagają się, by to drukować, bo właśnie tylko to świat czyta.

Jeśli między tych młodych „publicystów" czy „synów Muzy" wkradnie się ktoś starszy i zacznie na starszą nutę opowieść, to dzieje się to przede wszystkim na zasadzie odwiecznego prawa Kaduka.

Z tego prawa i ja korzystam, pisząc o młodych redaktorach.

Jeśli Redakcja „Naszego Życia" zaszczycana bywa mile listami i kartkami pełnymi przychylności dla kierunku, treści i formy pisma, jeśli wreszcie ten i ów ustnie powie ciepłe słowo, lub zgoła zdanie w odniesieniu do „Naszego Życia", to uznanie to, nader cenne, należy się wyłącznie młodym redaktorom.

Oni to posiadają ten kunszt, że często z ich nieudolnej formy wygląda serce i prawda. Oni to posiadają dar wyrażania swych życzeń nie w formie uniżonej prośby, ale w postaci uśmiechu niemal zalotnego, który pochodzi z serca i może właśnie dlatego zwycięża serca, już nietylko dla „Naszego Życia" ale także i dla Zakładów.

Wyraźnym tego przykładem to zainteresowanie, jakie okazał dla Zakładu, drogą przez „Nasze Życie", p. Dyr. Inż. Br. Absolon, który osobiście przybył do Zakładu w Pawlikowicach, a nadto małych i większych obdarzył hojnie narzędziami pracy fizycznej.

Za dużo miejsca zajęłoby imienne wyliczenie wszystkich Szlachetnych Ofiarodawców i oddanych Prenumeratorów „Naszego Życia". — Gdyby się wszyscy przypadkiem znaleźli w Pawlikowicach, wówczas młodzi redaktorzy i nie-redaktorzy wydaliby na ich cześć przewlekłą, radosną syrenę, któraby dowiodła, że obok jakiego takiego pisania (próbki w „Naszym Życiu") — ci młodzi posiadają jeszcze jedną wartościową życiową cechę — umieją byś wdzięczni.

Kazet.

Na falach wspomnień.

Dzień 29 czerwca zapisał się głęboko w pamięci mieszkańców zakładu w Miejscu Piastowym. W tym dniu bowiem obchodził Ks. Walenty Chrobok, jeden z najpierwszych wychowanków Ks. Br. Markiewicza, Wielki Dobrodziej naszych zakładów, srebrny jubileusz kapłaństwa. Czcigodny Jubilat odprawił uroczystą sumę, przy obiedzie natomiast odbyło się złożenie życzeń.

Ale nie o tym chcę pisać.

Pragnę natomiast podzielić się z Czytelnikami „N. Ż.“ wiadomościami, których Czcigodny Jubilat wieczorem tego dnia szczupłemu tylko gronu użyczył. Opowiadał barwnie o swym powołaniu i pierwszych swych latach, spędzonych w zakładzie Ks. Br. Markiewicza, wreszcie o dalszych swych kolejach aż do kapłaństwa.

Ponieważ opowiadanie to łączy się ściśle z historią pierwszych lat działalności O. Założyciela, dlatego słuchaliśmy wszyscy z ogromym zainteresowaniem.

Jużem miał swoje lata — mówił ks. Chrobok — kiedym pojechał do Krakowa, żeby się uczyć na księdza. Zacząłem zwiedzać kościoły i wstąpiłem też do Jezuitów. Tam zgadałem się z jakimś Ojcem, któremu wyjawiłem cel mego przybycia. A on mi na to: po niemiecku nie umiesz, po polsku jeszcze gorzej, a od łaciny to ci głowa trzy razy taka urośnie. Ale widząc moją strapioną, lecz stanowczą minę, pocieszył mię zaraz:

— Ile masz pieniędzy?

— A trzynaście koron.

— No, to pilnuj się dobrze,



Pawlikowice. Ach te dynie rosną prędzej niż my!

żeby ci nie ukradli, a jutro rano jedź do Miejsca, koło Krosna. Tam jest Ks. Markiewicz, Sa-
Podziękowałem za radę i po-
lezjanin, on tam uczy chłop-
ców na księży.
szedłem, ale nie na stację, tylko dalej po kościołach. Zaszedłem na Kleparz do Misjonarzy i poprosiłem o spowiedź. Przyszedł Ojciec, kazał mi się spowiadać z całego życia. Wyszedłszy z kościoła, pytam bracisz-

ka przy furcie, czyby mię nie przyjęli na księdza.

— O, powiada, tu takich chłopców nie przyjmujemy, tylko małych.

Dałem więc spokój i zaszedłem do „kawiorza" (restauratora). Siadłem sobie przy stoliku i dumam. Przychodzi „kawiorz" i pyta:

— Cóż pan taki zamyślony?

— A bo, powiadam, „mam kajś jechać, a nie wiem kaj". I mówię mu o tem, co mi Jezuita poradził.

— E, mówi, nie spiesz się! Jedź najpierw do domu, napisz do niego, a jak ci odpisze, to wtedy...

Wypiłem jakiejś herbacinki i na pociąg. Zajechałem do domu w nocy, matka już spała. Wślizgnąłem się po cichu do domu, znalazłem śledzia marynowanego w szafie, wybornie smakował, fajkę zapaliłem i do łóżka pod pierzynę, bo mróz był siarczysty.

Rano matka patrzy, jest Waluś! A tyle się już o niego natrapiła i napytała sąsiadów, czy go też nie widzieli, bo się zatracił nie wiedzieć gdzie. A teraz się skądś znalazł. Ale ja nic, przespałem się i zaraz biorę się do listu.

— „Przewielebny Księże! Czytałem żywoty świętych, św. Arnulfa, Jana Kapistrana i innych. Oni porzucili żony i rodziny dla Boga i ja chcę się Bogu poświęcić. Jestem synem rolnika, umiem także rzeźbić. Proszę o radę".

Za kilka dni przychodzi do mnie pruski listonosz i mruczy:

— Co wy, Walenty, jakieś Miejsce, Galicja. Podpiszcie się tu!

— O, myślę sobie, już się boją juchy, żebym im nie uciekł i każą się podpisywać. Później spostrzegłem, że inny był powód: List był polecony. Otwieram i czytam: „Kochany Walenty! Zbudowałem się twoim listem. Jest tu już kilku takich. Dwóch się uczy łaciny, już nawet umieją niezgorzej. Czas mamy podzielony na modlitwę, pracę i naukę. Przyjeżdżaj i zabierz wszystkie swe rzeczy ze sobą. Pan Jezus mówił młodzieńcowi: Sprzedaj, co masz i rozdaj ubogim, ale ubodzy są właśnie tu. Polecam cię opiece Matki Najśw. Ks. Br. Markiewicz".

Ale się jakoś nie spieszyłem. To matka mi chorowała i trzeba było w domu pozostać, to znów nie mogłem się wybrać. Za jakiś czas otrzymałem drugi list. Ks. Markiewicz wzywał mię stanowczo i zakończył: Przyjeżdżaj jak najprędzej, bo inaczej na twoje miejsce przyjdzie drugi.

— Tak, księże, powiadam sobie, to już chcecie sobie drugiego przyjąć. Niedoczekanie wasze. Na złość wam przyjadę.

I wyjechałem. Tymbardziej że trzeba jeszcze było, aby mię Prusak jakiś do „sztrafu" w lesie zapisał. To już dopełniło miarki. Nic nie mówiąc matce, zebrałem rzeczy do tobołka, chleba i sera w kieszeń, parę grajcarów na pociąg i hajda do tego Miejsca.

Pociąg był załadowany. W jednym wagonie śpiewano pobożne pieśni. O, myślę sobie, ciekawy tu naród w tej Galicji. W Iwoniczu wysiadłem i dalej

się rozglądać, gdzie tu to Miejsce znaleźć. Zaszedłem do karczmy zaraz koło stacji i pytam gospodarza.

— Do Miejsca? powiada, — to jest tu w kącie drugi też, co tam chce iść. Droga prowadzi prosto do kościoła. Tam zaraz jest ten zakład.

— No, mówię do tego drugiego, chodźmy razem, to nam będzie raźniej! I poszliśmy. Kolegą tym był Pawluś, koszykarz, który później warsztat koszykarski założył.

Przechodzimy kolo kościoła i oglądamy się, gdzie to jest ten zakład. Na wprost kościoła stoi jakiś murowany dom, ale drzwi i okna deskami jeszcze zabite. To chyba nie zakład. A tu mróz dobrze doskwierał, bo było to w lutym 1893 r. Nagle z sąsiedniej zaraz chałupy wychodzi barczysty chłop, w niebieskiej bluzie. Zawołał nas i wprowadził do izby. Sam poszedł poszukać Ks. Rektora. Czekamy chwilę usadowieni na krzesłach z poręczami i obmyślamy w jakiby to sposób powitać tego księdza. Trzeba będzie na kolanach obłapić za nogi i prosić o przyjęcie. Choć po prawdzie to już przyjęcie mam...

Nagle drzwi do „salonu" uchyliły się i ukazała się w nich wychudzona twarz, okolona czarnym zarostem. Patrzę i nie wierzę! Rzeczywiście kiwa na nas palcem i woła do siebie. Wziął nas za ręce i pokazując po ścianach, mówił szybko, tak, że nie wszystko mogłem zrozumieć, bo po polsku nie zupełnie dobrze umiałem: „Tu jest M. B. Wspomożenia wiernych. Z Nią będziemy pracowali. A tu Ks. Bosko".

— Ten, o którym gazety pisały, przerwałem.

— A, tak! A jak u was mówią: ziemniaki czy kartofle". Zmienił nagle temat, żeby wybadać jakim mówię narzeczem. I tak z tego do tego, powiedziałem mu, że matka się na pewno będzie trapić, więc dał mi żywot matki Ks. Bosko, kazał wysłać wraz z listem, że za 9 lat będę księdzem. Tak zrobiłem.

Zostałem więc w Zakładzie. Różne przechodziło się koleje, wreszcie już nie po 9, ale 14 latach znalazłem się w Pawlikowicach. Tam doszedł mię list Ks. Markiewicza. Pisał mi: „Matka i krewni pchają Cię do kapłaństwa, a ty masz słabą głowę. Daj spokój łacinie, a zabierz się do ręcznej pracy. Masz narzędzia rzeźbiarskie, to będziesz figurki wyrzynał".

Widocznie chciał mię doświadczyć. Zaraz mu też odpisałem, że matka mię na księdza nie pcha, bo od niej uciekłem, a nauczyciel mój ks. Olemba dał mi dobrą ocenę, więc głowy słabej nie mam.

Po pewnym czasie zmówiło się nas kilku, żeby pojechać do Ameryki, bez wiedzy Ks. Markiewicza, na studia. Ale on się wnet o tym dowiedział i wystosował nam list, żebyśmy albo zamiaru poniechali, albo też Zakład natychmiast opuścili. Tamci tak zrobili, ja zaś upokorzyłem się i napisałem list z przeproszeniem. W odpowiedzi otrzymałem polecenie wyjazdu do Zborowa, gdzie się nowy zakład otworzył. Tam byłem prefektem. Ale nauka już mi jakoś nie szła, nad książką się drzemało, a i dyrektor mi na pięty nastawał, choć byliśmy

kolegami, więc wyjechałem do domu na wakacje. Doktor kazał mi dobrze się odżywiać i dużo spoczywać na polu. A mnie tylko potrzeba było uspokojenia nerwów. Po kuracji wróciłem do Zakładu, do Pawlikowic. Tam do południa studiowałem katechizm i wymowę kaznodziejską w Wieliczce u Reformatów lub u fary, wprost „u źródeł", a po powrocie do domu zabierałem się do cepów lub czego innego. Była więc ręczna praca.

Już za pobytu w Pawlikowicach odgrywałem role w przedstawieniu, które urządzał p. Morawski, a po przyjeździe do Miejsca grałem rolę apostoła w „Zmartwychwstaniu". Poszło dobrze, więc powiadam sobie: „No, Waluś, jeszcze nie wszystko stracone. Może z ciebie coś będzie"...

Jakoś niedługo potem przyszedł list z Ameryki od Ks. Sławińskiego, który tam został przyjęty do seminarium. Pisał do mnie: Walenty, przyjeżdżaj! Nie będziesz tu najgorszy!

Gdy to Ks. Markiewicz przeczytał, zaraz napisał do tamtejszego rektora i gdy ten mię przyjął, wysłał mię do Ameryki w r. 1909. Przy pożegnaniu załakał się, gdym mu powiedział, że się już pewno ostatni raz widzimy. I rzeczywiście była to ostatnia moja z Nim rozmowa... Później porozumiewaliśmy się tylko listownie.

W 2 lata potem, 29 czerwca 1911 r., a więc okrągło 25 lat temu, kończył Czcigodny Jubilat, wyświęcił mię samego tylko, bo inni byli wcześniej wyświęceni, pewien biskup niemiecki i na ziemi amerykańskiej po raz pierwszy złożyłem Bogu bezkrwawą ofiarę...

A-w.

Rola Żydów w komuniźmie.

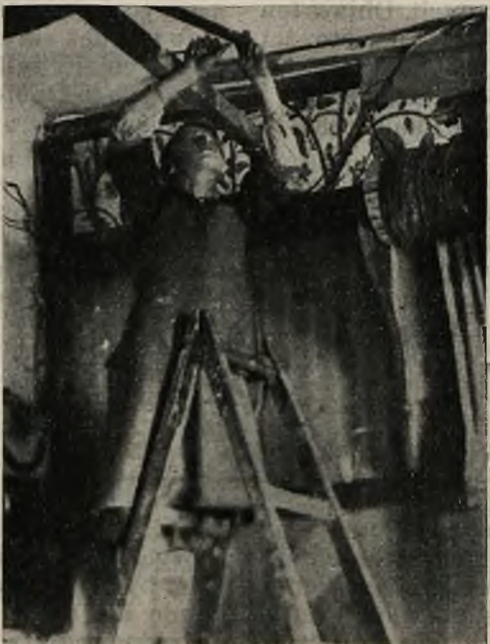
Kwestia żydowska budziła i budzi szerokie zainteresowanie, zwłaszcza w Polsce posiadającej tak znaczny odsetek żydostwa. Jeśli sprawa Żydów w czasach obecnych znów nader silnie uaktualniła się, to przyczyna niewątpliwie leży w roli, jaką Żydzi odgrywają w szerzeniu się komunizmu w świecie.

Wystarczy przejrzeć prasę codzienną, by z dnia na dzień czytać o aresztowaniu komunistów, a nazwiska dowodzą niezbicie, że są to prawie zawsze Żydzi.

Jeśli dość często rozpatrujemy sprawę żydowską, to czynimy to głównie ze stanowiska gospodarczego. Po prostu razi nas słusznie fakt, że Żyd w naszym przemyśle i handlu zajął rolę przodowniczą, innymi słowy zagarnął zawody stosunkowo „lżejsze", przynoszące obfite zyski.

Razi nas dalej fakt naszego

niedołęstwa, które nie dozwala nam zorganizować przemysłu i handlu własnego, w myśl słusznej zasady „swój do swego po swoje“. Wiemy, że przeprowadzenie tego hasła wysunęłoby poza nawias żydostwo i ukróciłoby jego wielmożność w naszej polskiej gospodarce.



Pawlikowice. — Tajemnice zakulisowe.

Zadziwiający jest fakt inny, że Żyd polski, tak stosunkowo dobrze żyjący i łatwo zarabiający w obecnym polskim systemie gospodarczym, lgnie tak silnie do komunizmu.

Przyczyna tego faktu, po bliższym rozpatrzeniu go, staje się dość jasna. Komunizm walczy z wszystkimi wartościami istotnymi — walczy z religią, narodem, wreszcie z całą sumą wartości kulturalnych danego narodu.

Fakt ten właśnie leży najwyraźniej w orbicie interesów żydowskich.

Religia, polskość, kultura to główne czynniki stanowiące podstawową i istotną różnicę między społeczeństwem polskim a Żydem.

Gdyby przestały te podstawowe czynniki istnieć, hierarchia Żydów w Polsce byłaby przesądzona — tylko te różnice tamują pewne sfery naszego życia przed zalewem żydowskim.

Jasnym stać się musi, że ustrój społeczny zwalczający wspomniane czynniki, a więc komunizm, jest dla ogółu ży-

dostwa szczególnie bliski, gdyż przypuszczalnie obok pozycji materialnej, którą Żyd wywalczyć sobie zawsze umie, stworzyłby i warunki moralne dla rozwoju żydostwa w świecie.

Fakt charakterystyczny, że Żyd walczący z tradycyjnymi wartościami ustrojów społecznych, nie rezygnuje wcale z własnych tradycji. Objaw ten zaobserwował już na sto lat przed nami Krasiński w „Nieboskiej Komedii" — gdzie Żydzi komuniści szukają prawdy w Talmudzie.

Obok przytoczonych przyczyn jest jeszcze jedna bardzo znaczna, która sprawia, że Żyd do komunizmu ma szczególnie bliską drogę. Przyczyną tą jest niska etyka Talmudu. Każdy Polak-katolik, zanim przebędzie drogę do komunizmu, musiałby odbyć walkę z własnym sumieniem, które uczy i zmusza go odróżniać dobre od złego, musiałby zerwać z religią, z uświęconym, tradycją życiem rodzinnym, wreszcie z noszoną w sercu polskością. Żyd nie wytworzy w swej duszy na ten temat tragedii — z przyczyny prostej, że etyka jego jest bez skrupułów, krótko Żyd wybiera tylko między możliwością zrobienia dobrego interesu.

Pobieżne to i krótkie rozważanie winno nam uświadomić fakt, że w czasach dzisiejszych w Żydach tkwi daleko dla nas większe niebezpieczeństwo niż kiedykolwiek.

Kazet.

A jednak było to piękne...

Tym razem chciałbym coś powiedzieć o mieszkańcach zazakładu, o narodzie zakładowym albo o społeczeństwie — jak kto woli — więc, dla większej powagi rzeczy, zacznę okresem wielkim i o ile można zawiłym, jak to robią historycy.

Otóż ten naród zakładowy, liczący 150 głów różnego kalibru i umeblowania — poczynając od mądrych i łysych, wpół wyłysiałych, czasem trochę podsiwiałych głów przełożonych, a skończywszy na czarnych, jasnych i nieokreślonego koloru, przeważnie szczeciniastych głowach naszych, w których w dodatku gnieździły się wróble, albo według opinii niektórych nauczycieli i profesorów, była sieczka lub też zgoła nic nie było — dzielił się na różne warstwy i miał swoją hierarchię, niczym prawdziwy naród.

Najwyższą kastę tworzyli przełożeni: dyrekcja, profesorowie, nauczyciele i majstrowie. O tych nil nisi bene. Po nich następowali wyzwoleńcy — czeladnicy warsztatów, studiosi, a wreszcie nie frasobliwa rzesza tych, co jeszcze nie kłopocili się zbytnio o sprawy doczesne, nie czuli do niczego specjalnego powołania i żyli swobodnie, beztrosko z dnia na dzień — słowem malcy

i inne pasożyty. Nie potrzebuję wspominać, że do tych i ja wówczas należałem.

Weźmy np. takich „studiosów“. Studiosi, to były indywidua chodzące zawsze i wszędzie z książką pod pachą i mruczące coś pod nosem. Jak mi się dało wówczas pochwycić i zapamiętać to jeden mlełi wykręcał na wszystkie strony słowo „paideuo“; drugi z uporem dzięcioła kuł cornu, cornu, cornu... aż do znudzenia, a wreszcie trzeci — Boże, ten był bajeczny — trzeci chodził poważnie, jak bocian, wzdłuż refektarza i wyrzucał w pewnym ustalonym tempie prawą pierś wgórę ponad głowę, powtarzając przy tym „Hej, ty na szykim koniu, gdzie pędzisz kozacze?“. Patrzył, w czasie tego, groźnym wzrokiem przed siebie a czasem i w książkę trzymaną w lewicy. Wprawiało nas z początku w zdziwienie a potem w entuzjazm. Ustawialiśmy się po cichu tak w sześciu, ośmiu za nim w rząd i wyrzucali i nasze małe piąstki, jak na komendę, w górę i maszerowali z nim razem. Jak spostrzegł to, odwracał się nagle i rozpędzał nas kułakiem, wymierzonym najbliższemu. Ale za chwilę znów robił swoje zapominając o nas, a my ćwiczyliśmy z nim dalej. Gdy się drudzy tarzali ze śmiechu nad tym widowiskiem, a ten dziwny studiosus rzucił w któregoś z nas książką, zaniechaliśmy tej zabawy w jego towarzystwie, natomiast kontynuowaliśmy ją dalej w parku. Kilku lub kilkunastu malców ustawiało się w zastęp, największy na przedzie, z książką w ręce udawał tego stu-



Miejsce Piastowe. — Ślusar ia.

diosa. Patrzył groźnie w książkę, skandował z pamięci słyszane „Hej ty na szybkim koniu ..“, wyrzucał ramię w górę, chodząc tu i tam, a my gęsiego za nim czyniliśmy na włos to samo. Reszta się zaśmiewała ..

Więc studiosi były to indywidua śmieszne, ale że nic złego nam nie robiły, ba często nam opowiadały ciekawe historie wyczytane w książkach, więc nasz wzajemny stosunek, z małymi wyjątkami był poprawny. Coś-niecoś było nam wiadomem, że mają z nich być nauczyciele, profesorzy, a nawet księża, ale tu nam się znów nie mogło w głowach pomieścić, dlaczego się chwytają czasem, w naszym mniemaniu, czynności najgorszych. Widzieliśmy ich czasem wywożących substancje śmierdzące bardzo z ubikacyj ogólnym potrzebom służących, które nam z początku były znane pod nazwą „kopalnie, złota“ a później „pompeje“. Ta ostatnia nazwa zapewne od pompy, którą się posługiwano przy pracy. Po latach było dla każdego z nas jasnym, że czynili dla dania dobrego przykładu innym i dla wyrabiania w sobie chrześcijańskiej pokory... Ci sami ludzie chwytali się i innych, wznioślejszych prac n. p. wypiekanie chleba lub uczenie nas w szkole. A nie wiem na prawdę, które z tych ostatnio wymienionych zajęć zyskiwało im u nas więcej szacunku...

M. Cz.

c. d. n.

Wspomnienie pośmiertne.

W naszej rodzinie sierocej ze szczęścia jednego wszyscy się cieszą, a z nieszczęścia wszyscy się smucą. Cieszyliśmy się, kiedy pod koniec roku szkolnego zdał świetnie egzamin dojrzałości jeden z naszych wychowanków p. Włodzimierz Strocki. Wszyscyśmy mu składali gratulacje, oklaskami witaliśmy go w sali jadalnej, kiedy zasiadł w gronie starszych wychowawców. Pewni byliśmy, że będzie chlubą naszego Zakładu, bo istotnie rokował on świetne nadzieje. Przywiązanie jego do Zakładu było wielkie, zawsze z uszanowaniem zwracał się tak do przełożonych jak i do swoich współtowarzyszy sierot. Przed wyjazdem do Tyńca prosił Ks. dyrektora, aby mu pozwolono w gromadzie sierocej spędzić wakacje. Ks. dyrektor chętnie zgodził się na tę propozycję i wyznaczył mu rolę wychowawcy i współpracownika na kolonii.

Piszący o Nim był świadkiem i naocznym obserwatorem jego zachowania się w czasie wakacji. W każdej okoliczności widziano go uśmiechniętego... był to uśmiech, którego nie zapomnę, bo uśmiech młodzieńca, który kierował się w życiu prawością charakteru

w pełnym słowa tego znaczeniu. Jego radość udzielała się nam wszystkim, był on człowiekiem, z którego promieniała radość i swoboda dla całej tynieckiej kolonii.

Gorliwością przodował, zachęcał swoich kolegów do praktyk religijnych, służył prawie codziennie do Mszy św. tamtejszemu ks. proboszczowi i często przyjmował Sakramenta św.

Wesoło nam więc było z nim, a zdaje się, że i jemu było przyjemnie między nami. Wróciliśmy wszyscy zdrowi i weseli i z zapałem rozpoczęto pracę na ławie szkolnej, a p. W. Strocki pozostał u swej Mamusi. Każdego dnia przychodził. Aż oto od szeregu dni zabrakło go w naszej gromadzie.

Przypadkowo dowiedziałem się, że zachorawał poważnie na tyfus, natychmiast pobiegłem do telefonu, aby się dowiedzieć o stanie jego choroby, otrzymałem odpowiedź, że właśnie w tej chwili p. Włodzimierz kończy życie.

Wiadomość o śmierci ś.p. W. Strockiego wywarła na wszystkich przygnębiające wrażenie. Szczerzy jego koledzy wierzyć nie chcieli, z niepewnością zwracali się po kilka razy z pytaniem, czy nie zaszła pomyłka. Wskutek tego pobiegłem natychmiast do szpitala, aby się przekonać i upewnić. Istotnie dowiedziałem się, że Włodzimierz Strocki nie żyje

Ś. p. W. Strocki był drogim synem swej matki wdowy, która nie szczędziła niczego, aby mu dopomagać w czasie nauki, widząc w nim swoją przyszłość.

Zarazem był wiernym wychowankiem Zakładu św. Józefa, na każdym miejscu okazywał w czynie i słowie, że k o c h a B o g a, przełożonych i współtowarzyszy.

Oceniając należycie wartość stowarzyszeń, zostaje na terenie Krakowa członkiem Sodalicji Mariańskiej, zapisuje się do Koła Abstynentów, i wielu innych organizacyj, w których bierze czynny udział.

Wiele też mamy do zawdzięczenia jemu ze strony naszego K. S. M. P. —

Odprowadziliśmy zwłoki śp. W. Strockiego na miejsce wiecznego spoczynku i złożyliśmy kwiaty w dowód szczerego przywiązania i wdzięczności dla jego osoby.

A teraz będziemy mile wspominali swego śp. kolegę w każdej okoliczności naszego życia. Mszę św. za jego duszę odprawiono uroczyście w Kaplicy Zakładowej w dniu 27. IX b. r.

E. Wyrębski

Jedziemy do Tokio w r. 1940.

Szanowni Czytelnicy! Nasza kochana „Victoria“ powoli kończy swój sezon piłkarski. Na zakończenie tego sezonu rozegrała ostatnio mecz z K. S. „Zwierzynieckim“ z Krakowa i znowu tak jak przed tym pokazała, co umie, ponieważ wygrała mecz z drużyną silną, bo A kl., a to w stosunku 6:4. Nasi piłkarze osiągnęli tak dobrą formę, że marzą o olimpiadzie w Tokio. Przypuszczalnie „Victoria” rozegra w bieżącym roku jeszcze kilka spotkań z krakowskimi drużynami. Cały zespół „Victorii“ jest ogromnie wdzięczny „Okręgowemu Związkowi Piłki Nożnej w Krakowie“ za otrzymanie piłki nożnej. Również serdecznie dziękujemy krakowskiej drużynie „Garbarni“, która obdarowała nas już dwoma piłkami, kibicujemy też za nią aż miło. W przyszłym roku będziemy się popisywać na nowym boisku, Acha jeszcze jedno, dobrze, że sobie przypomniałem. Nie mają Szanowni Czytelnicy pojęcia, z jaką radością nasi piłkarze witali jeden z numerów „Raz Dwa Trzy“, w którym były umieszczone ich podobizny. Lecz teraz muszę Szanownym Czytelnikom donieść jeszcze jedną radosną rzecz. Otóż za przykładem naszej „Victorii“ poszli harcerzyki i utworzyli nową drużynę, którą ochrzcili „Czuwaj”. — „Czuwaj“ nie rozegrał jeszcze żadnego spotkania, poświęcając czas na treningi, które z całą gorliwością przeprowadza zastępowy Batruch. Tak przy boku „Victorii powstał młody „Czuwaj“.

Teraz do życia biorą się gracze tenisu stołowego, szachów i innych pokojowych gier.

„Victoria“ Cześć!

Sekretarz.

Humor i dowcip.

Gdy raz król kazał swemu kanclerzowi napisać przywilej dla pewnego dzielnego męża, rzekł kanclerz: na co mu dawać, kiedy nie prosił? — Aż nadto prosi, kto wiernie służy.

Franklin taką dał definicję cygara: cygaro to śmierdzące ziele z ogniem na jednym, a z głupcem na drugim końcu.



Przypomina mi się w tej chwili myśl znanej autorki, że serce zimne, zastygłe, nic nikomu nie szkodzi ale też jest zupełnie zbyteczne, niepotrzebne.

schroniła się kobieta z trojgiem dzieci. Mała siostrzyczka modliła się obok dwóch braciszków. Starszy był więcej skupiony, drugi malec ruszał wargami, a równocześnie z cie-



Oto mali wygnańcy — z Czechosłowacji.

Przed burzą uciekało ptactwo... Po zwałach chmur przewalał się grzmot, czasem błyszczący zygzak rozsypywał się w niebezpieczne opiłki za liściastą koroną parku. Pod kapliczką, co stoi koło drogi,

kawością wytrzeszczał niebieskie ślepka na otoczenie. Może schronili się tylko przed burzą?... Nie, bo w tej chwili rozmawiają z ks. dyrektorem. Całkiem zwyczajna historia. Ks. dyrektor mówi pewną ilość

razy, że nie, nie ma miejsca, wkońcu wydaje polecenie asystentowi, aby przygotował dwa miejsca dla nowoprzyjętych.

Przybywali z daleka — ofiary czeskiego szowinizmu, mimo że nie byli Polakami. Przybywali do nowej ojczyzny, która ich przyjęła pod dach, podała bezdomnym rękę. O tym cicho, o tym nie wie nikt, tylko oni wiedzą, że ich przyjęła Polska, tylko wie ta Instytucja, która przygotowała dwa miejsca dla „Czechów".

W pierwszym dniu, zaraz po przyjęciu spotkaliśmy się z malcem o niebieskich oczach.

Był on nadzwyczaj rezolutny. Nie piliśmy wprawdzie bruderszaftu, ale to nam zupełnie nie przeszkadzało, żebyśmy byli „na ty". Wprawdzie różnica wieku miedzy nami wynosiła ćwiartkę stulecia, lecz mały Bohusz wiedział o tym dobrze, że to nie jest moją ani zasługą, ani zaletą.

— Dziś zagramy w kroket — odezwał się do mnie pewnego poranku.

— Dobrze!

Pędzimy obaj na kort wysypany piaskiem. Małe nóżki człapią po ubitym piasku, niezgrabne łapki malca ściskają młotek, dziecięce oczy niespokojnie ścigają toczącą się kulę. Hazard... Fauluję, aby dać malcowi możność wygrania. Mimo „zaciekłej" gry Bohusz pamięta doskonale o tym, że teraz jest czas pracy, że jego starszy braciszek pracuje w ogrodzie, ale Bohusz jest małym człowiekiem, ma „swoją namiętność", z drugiej strony dobre serce, któreby nie chciało przenigdy, aby go spotkał ks. dyrektor przy zabawie zamiast przy pracy.

— Słuchaj zwraca się do mnie, — ty duży, obacz, czy direktor ne idą, lebo... napędi nas do buraków.

Spełniając przyjacielską usługę, drapię się na pochyły pień lipy, czepiam się konarów, rozglądam się i niby przerażony wołam:

— Dyrektor!...

— Oj! pospieszaj, lebo nas obaczy —

Czmychnęliśmy w gąszcz zarośnięty świerkami, aby nas dyrektor nie widział. Gdy pytałem malca, dlaczego kazał mi uciekać, chociaż korzysta jeszcze z przywileju małoletnich i może się bawić w czasie pracy, nie umiał mi odpowiedzieć. Może nie znał odpowiednich słów polskich, a może nie zdawał sobie sprawy z drgań małego serduszka. Wszak ks. dyrektor powiedział mu przy przyjęciu, że będzie musiał pracować ciężko, on się zgodził — mały nie chciał wyrządzać przykrości...

Dziś już go w Pawlikowicach nie ma. Przełożeni kupili mu nowe ubranie, czapkę i wysłali go do Miejsca Piastowego, aby uczęszczał do szkoły powszechnej. Żegnaliśmy się bez słów, po męsku. Ostatnie jego spojrzenie padło właśnie na plac krokietowy. Odjechał dumny, że się jedzie uczyć na wielkiego człowieka.

Na jego miejsce przyszli inni, wielu innych...

Oto przed drzwiami mojego mieszkania ktoś śpiewał chłopię-

cym głosem: — „Bo już taki jestem zimny dlań“ — Zaciekawiony uchyliłem drzwi, aby zobaczyć tego „zimnego dlania“... Uśmiechnąłem się z tego kontrastu. Mały chłopczyk świeżo przyjęty — dziecko. Cóż dziwnego?... Przebywał w otoczeniu, gdzie go karmiono szlagierami, przyszedł tutaj i wnet będzie z przyjemnością nucił „O święty kraju nasz“.

— A cóż ty malcze?...

— A... nic.

— Jakżeż się wyspałeś?

— Wyspałem.

— Ile masz lat?

— O s i e m?... I taki duży już jesteś? Ej chyba cyganisz widzicie go, taki duży chłop, prosty jak trzcina, silny, zdrów jak dąb. Ano dobrze, dobrze.

To wszystko było nieprawdą, bo malec był słabo rozwinięty, anemiczny, smutny,



Miejsce Piastowe. — Kuźnia.

Na niewinnej twarzyczce błąka się uśmiech beztroski, ciepły, ale za tym uśmiechem krył się cichaczem smutek. Może tęsknił za owym kółkiem małych znajomych, bo rodziców już nie miał, może pragnął, by mu ktoś rękę położył na płowych włosach i rzucił serdeczne słówko?...

W tej chwili przechodził jeden z księży wychowawców. ale po tych słowach wyprostował się, twarz mu się rozjaśniła uśmiechem zadowolenia, może z powodu pochwały, a może dlatego, że ręka czyjaś, nieznana, obca pogłaskała płowe włosy — ktoś mu dał kawałek serca. I może to stało się powodem, że mały nie będzie już zimnym draniem!

Takich i tym podobnych obrazków spotyka się tutaj du-

żo na każdym kroku. Można doskonale ocenić rolę, jaką spełnia okruch serca podstawiony bez wagi i rachunku. Jeden moment, zatarasowanie serdecznych dzwi może złamać tak, jak jedno słowo dobre podeprze, doda sił. I jeżeli Zakłady Wychowawcze ks. Br. Markiewicza osiągają swój cel pedagogiczny, to nie czynią tego żadnym innym sposobem, jak tylko sercem, które często wystarcza za ciepłe odzienie, lub strawę.

Gdzieindziej są ludzie bardzo grzeczni. Poza granice oznaczone wymogami bon tou'u nie wykraczają. Widzi się u nich potrójne ukłony, gratisowe uśmiechy, widzi się wszystko, prócz serca. Boją się go podzielić i rozdać, boją się nawet otworzyć. Rzucą strawę, okrycie, ba nawet garść złota, byle nie kawałek serca, bo to by ich uczyniło ludźmi, wkręciło w motor altruizmu, a oni się tego boją. Przyzwyczaili się być indywiduami dwudziestego stulecia, typem manekina w swych własnych pantoflach i szlafroku. To im najzupełniej wystarcza. Poza gablotkę własnego powinowactwa nie wychylą twarzy, nie są zdolni, wszak mają za mało w sercach dla własnych ścian. A jednak każdy serdeczny okruch stałby się nowym mięśniem, całym, zupełnym i ożywiłby częstokroć gasnące arterie. Tacy nie są nawet egoistami. Wpłacają dobroczynne kwoty, kładą swój podpis na listach ofiarnych i „non plus ultra". Przejęcie się ideą oddaliło się kędyś daleko, nastały nowe czasy, świadome nieubłaganej twardości życia. Zmieniło się wiele, warunk istnienia położyły na globie nowe szyny dyrektyw, ale nie zmieniło się młode cerce, młody człowiek będzie zawsze tą samą gąsienicą. I jeżeli nie przepoczwarczy się w serdecznej atmosferze, tylko będzie manekinem, akumulatorem naładowanym tylko wiadomościami ogólnymi, czy zawodowymi.

Adam Wojtowicz.

I. Sport w Zakładzie.

Czemuś smutny dziś od rana?
Chodź się bawić! — „Nie, nie [mogę!"
Więc gwałtem biorę kompana,
Na plac zabaw ruszam w drogę.
Pierwsze boje i potyczki
Dzielnych naszych „sportylionów",
To zabawa zwana „kiczki"
Na murawie, blisko domu.
Sport to piękny, a jak miło
Czas upływa wśród zabawy!
A gdyby „kiczek" nie było?
Dążym do drugiej murawy.
Tu w siatkówkę wielu grywa
Choć się nie każdemu wiedzie,
Nie jednego piłka „kiwa"...
Nie rozpacza, choć niedźwiedzie
W „zgrabnych" ruchach naśladuje,
Gra z innymi, ćwiczy pilnie
I wnet się wyedukuje...
Patrz! Ten, co tak nieomylnie

Ścina, aż się siatka zrywa,
Przed rokiem zaczął skro-
[mniutko:
Piłka z nim „nie chciała“ gry-
[wać,
Serwa mu szła za niziutko...
Tamta gra też nie macosza,
Patrz, jak się tam brać uwija!
„Co tam mają?“ — Grają
[w kosza!
O tablicę się odbija,
Już do kosza piłka wpada!
Gwizd sędziego. Chwila prze-
[rwy
I rozbawiona gromada...
Gra już dalej! Co tu werwy!...
Z boku krzyki, wrzask niemały:
Ktoś się śmieje, ktoś przewraca.
Jeszcze jeden został „cały“.
Zbić go, trafić trudna praca.
Przy „dwóch ogniach“ trzeba
[sprytu,

II. Historia, jakich wiele...

Dobrze, że cenisz poetów,
Lecz poznaj też wierszokletów,
Którzy w pocie czoła „tworzą“,
Choć się losy na nich srożą...
Ot taki właśnie „poeta“
Wyrwał parę kart z kajeta,
Szybko za ołówek chwyta:
Pisać, pisać — mus i kwita!
Czoło dziwnym ogniem pała,
W myśli wiersza postać cała,
Tylko trudność stąd się bierze,
Jak to spisać na papierze...
Zaczyna... wpada w natchnienie...
Poezji płyną strumienie...
Rym się cudownie układa
Tu „upada“ — tam „kaskada“
Z rytmem jednak bieda wielka
— Tu się gubi płynność wszelka.
Skończył... z dumą liczy wiersze,
Lecz niektóre jakoś szersze...
Trzeba trzewiki zdejmować,
Żeby zgłoski porachować!
Z żalem wyrwał parę zgłosek,
Choć rytm zepsuł, zadarł nosek,
Bo już wszystko „należycie”...
Może przecież „Nasze Życie”...
— Co?! Zamieści mi z pewnością
Będę czytał druk z litością..
U dołu moje nazwisko
Jakby teraz widzę wszystko..
Więc przepisał wiersz od ręki
Z drżeniem wrzucił list do
skrzynki.
Czeka przez kilka miesięcy...
(Dzięki Bogu, że nie więcej.)
Czeka ciągle listonosza...
Dostał pismo... „wierszdokosza“
„Lecz nie przestał „tworzyć“
[dalej,
Pisał, aż wydrukowali...

A. W.

OD WYDAWNICTWA

Zwracamy się do wszystkich P. T. Abonentów z gorącym wezwaniem, aby zechcieli uiścić prenumeratę, i w ten sposób poprzeć „Nasze Życie“

Zagadka rachunkowa.



W powyższe kwadraty wpisać 4 liczby różne, by suma ich we wszystkich kierunkach wynosiła 97. Miejsce naznaczone + ma mieć liczbę najmniejszą.

Do Redakcji „Naszego Życia“ wpłynęło niniejsze podziękowanie w chwili, gdy Włodzimierz Strocki (o którym umieszczamy wspomnienie pośmiertne) już nie żył.

Słowa Jego, wyrażające wdzięczność Ks. Dyrektorowi Machale za pracę wychowawczą, brzmią tym silniej, że są głosem wdzięczności zza grobu.

*

PODZIĘKOWANIE.

Wielebnemu Księdzu Józefowi Machale, dyrektorowi Zakładu dla osieroconych chłopców im. św. Józefa w Krakowie składam niniejszym serdeczne „Bóg zapłać“ za wieloletnią opiekę, i wychowanie oraz pomoc do ukończenia gimnazjum i uzyskania świadectwa dojrzałości.

Z głębokim szacunkiem
Włodzimierz Strocki

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Bonza: Nowelka zbyt smętna, a mała jej dawka nie pozwala się zorientować w całości. Prosimy o resztę.

Wielce Szanowna P. Jadwiga z Boguckich *Masłowska:* Dziękujemy za pamięć o „Naszym Życiu“.

Teka: Obrazek miły, ale nie na czasie. Rękopis zachowujemy do ewentualnego użytku.

Kądziołka: Wywiad z dziadkiem dziwnie przypomina, niestety nie humorem, drukowany artykulik na ten sam temat. — inne artykuliki miłe treścią, gorsze formą.

Pawełek: Wierszyk miły.



KRONIKA
ZAKŁADÓW TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA"

Pawlikowice.

Kronika za wrzesień.

I wszystko ma swój czas...
I wszystko kończy się...

Skończyły się i wakacje... Niejednemu wydłużył się nosek, a gębusia w serdecznym smutku wykrzywiona, szepcze: — już... zaczną nas znowu belfrzy dusić i przyciskać..."

Nie smuć się braciszku. To tylko pierwsze dni są niewesołe — jak się rozpędzisz — to ledwie cię powstrzymają w następnej klasie — albo i... w tej samej. Zależy to już od ciebie.

U nas rozpoczął się rok szkolny uroczystym nabożeństwem i Mszą św. celebrowaną przez Dyrektora gimnazjum X. F. Skrzypkowiaka. W szkole jest dużo nowych uczniów. Słyszy się i akcenty poznańsko-pomorskie, warszawskie a już najwięcej z vaterlandu Ściepka i Tońcia, ze Lwowa. Niedawno temu będąc w Krakowie spotkałem Dyrektora lwowskiego naszego Zakładu, który był otoczony całą chmarą zuchów. — A gdzież to Pan Bóg prowadzi? pytam zdziwiony. — Do Pawlikowic, do gimnazjum wiozę ich — odpowiada p. Dyrektor. — Cudownie — jedziemy razem. — Po drodze przekonałem się, że są to chłopy murowane — tylko nie „wmurowane", bo i narty sobie wieźli, więc zarazem są to chłopy i lotne, mające sportowe zacięcie. No i dzisiaj cała ta plejada uczniów kuje i kuje na gorąco, los swego życia.

W tym miesiącu gimnazjum nasze wizytował wizytator Kuratorium krakowskiego, który po zlustrowaniu szkoły, zwiedził nasze warsztaty.

Klękajcie narody — bo co? ano już został uruchomiony młyn, na razie niezbyt wielki — ale już mogący znacznie nam się przysłużyć. O „przypadkach" i „wypadkach" zaszłych w młynie podczas „wąchania" czy mąka przywadkowo młynem nie pachnie, już nie wspominam — zaznaczę tylko, że niektórzy wyglądali po „wąchaniu" zachwycająco biało jak...anieli.

W dniu 29-go, w dzień św. Michała Archanioła, patrona naszego Towarzystwa, przybyło Towarzystwu trzech stałych obywateli. Mianowicie wieczystą profesję św. złożyli: kl. Sobczak, kl. Pazdan oraz kl. Buczkowski. Po południu odbyła się akademia ku czci św. Michała Archanioła oraz odegrano przedstawienie p. t. „Jaśko bohater".

Różne cuda dzieją się na świecie: sportowe wyczyny, czyli olimpiady itd. I św. Marcin rekordowo zajechał do nas, bo już śnieg zaczął padać 28-go września. Poleżał dwa dni i... wsiąkł.

Na świecie istnieją także różne wyścigi: zbrojeń, „pokoju", zawierania niedotrzymywaych paktów i traktatów itd. Nasza drużyna harcerzy również przystąpiła do wyścigu. — Czy zbrojeń? — spyta się ktoś zdziwiony. — Nie — tylko do trzyletniego wyścigu pracy drużyn Harcerzy. Wyścig nasza Drużyna rozpoczęła apelem wycieczek zastępów. Życzę im wszystkiego najlepszego, by w przeciągu tych trzech lat nabrali tężyzny i spoistości wewnętrznej oraz by ideowo mogli przyświecać kolegom w Zakładzie. *Kronikarz.*

Kronika z krakowa.

Dzwonią! Co się stało? widocznie pożar, tak wołał jeden z naszych zuchów w pierwszym dniu po przyjeździe z Tyńca. Prawda, w sam dzień odjazdu z Krakowa naszej kolonii przyjechał do Zakładu, nie miał więc sposobności przed wakacjami usłyszenia dzwonka. Jak zwykle przy przejeździe zwołano wszystkich głosem dzwonka na obiad, dla świeżych wychowanków była to nowość, a starzy czuli, że wrócili do zwykłego trybu zakładowego, bo przez całe wakacje każdorazowe zwoływanie odbywało się na głos gwizdka, a wiadomo jest, że gwizdek często zmienia swój ton, wskutek tego często wychowankom trzeba było wybaczać opóźnienia.

Krakowski zaś dzwonek ma stale równy głos tak, że trudno szukać wychowankom wybiegów w rodzaju, że nie słyszeli go. Znamy go wszyscy, on reguluje nasze życie, nadaje mu ton. Dużo chłopców przybyło na początku tego roku, lecz dzisiaj trudno jest ich odróżnić od starszych wychowanków. Pogoda i uśmiech u wszystkich ten sam, cała gromada naszych zuchów jest pełna dobrych chęci i zapału iście młodzieńczego, pracują na ławie szkolnej aż rękawy trzeszczą. Mamy wyjątkowo spokojne pierwsze tygodnie bieżącego roku szkolnego, a na to składają się następujące czynniki: chłodne i dżdżyste wiatry północne i spokój, jaki obecnie panuje na ulicy Karmelickiej, wskutek gruntownej przeróbki takowej.

Tutaj należy coś więcej napisać o naszej ulicy. Obecnie ulica Karmelicka ma wygląd piękny, wygodna, w niczym więc nie przypomina starej. Godne są pożałowania drzewa, które paść musiały ofiarą gruntownej przeróbki ulicy. Cieszą się więc nasze zuchy krakowskie, że szerokim trotuarem mogą wygodnie iść do szkoły, czego przedtem nie było.

Wszystkich wracających z wakacji i nowo-przybyłych owacyjnie witaliśmy, szczególnie ks. ks. kleryków, którzy opaleni, pełni sił wrócili z Miejsca Piastowego, czy też z Pawlikowic. Serdecznie dziękujemy naszym kolegom w Miejscu Piastowym i Pawlikowicach za pozdrowienia i wiadomości, które nam doręczyli nasi ks. Klerycy.

Bardzo się cieszymy, że koledzy w Pawlikowicach zdrowi i chętni do wszystkiego, często o nich mówimy w swoim gronie, a co najważniejsza są oni zachętą dla innych, którzy mają zamiar kształcić się w naszym Gimnazjum w Pawlikowicach.

Dużo kłopotu przełożonym w Zakładach na prowincji nasuwa tegoroczne kopanie ziemniaków i innych produktów ziemnych, bo deszcze i zimno przejmujące istotnie bardzo przeszkadza w tej pracy. A w dzisiejszych kryzysowych czasach, gdyby nam, nie daj Boże, zabrakło ziemniaków i kapusty, to skazani jesteśmy na śmierć głodową.

Życzymy więc wytrwania na tym ciężkim stanowisku naszym kolegom w Pawlikowicach — nam przywożą ziemiopłody z folwarku Prusy, a beczki do kapusty już przygotowujemy. Obok właściwej naszej pracy szkolnej dużo czasu poświęcamy innym obowiązkom, a mianowicie: zajęciom miesięcznym, które dla świeżych wychowanków są czymś nowym, trzeba więc ich uczyć i wdrażać. Praca stowarzyszeniowa też już rozpoczęła się na dobre. Ks. Dyrektor w pierwszych dniach b. m. zachęcił wszystkich do intenzywnej pracy w naszym józefickim K. S. M. P. Powołano nowy Zarząd, który na czele z p. Sękowskim, jako prezesem, sprężyście zabrał się do pracy. Pierwsze zebrania były pełne zapału i z twarzy druhów promieniowło szczęście, że mogą należeć do Stowarzyszenia, którego Patronem jest św. Stanisław Kostka. Prawie wszyscy przystępują do czynnej pracy w tej młodej organizacji. Z upodobaniem słuchamy odczytów druhów, którzy zaledwie ukończyli 10—12 lat życia, rokują oni dobre nadzieje na przyszłość.

Przechadzki tej jesieni nie udają się nam, gdyż deszcz stale pada. Ogród nasz już prawie opustoszał. Pszczoły za karę wywieziono w nieznane. Dowiadujemy się, że wygodniejsze tam warunki. Powodem ich wyjazdu było niestosowne zachowanie się w naszych sąsiednich cukierniach, skąd, bez opowiedzenia się, brały masowo słodycze, przetwarzając je na smaczny miód, zrobiono doniesienie z jednej z cukierń krakowskich, że wskutek masowego napadania zmuszeni są zamknąć swój sklep. Po zbadaniu z naszej strony stwierdziliśmy, że istotnie zabrakło kwiatków. Pszczółki czuły wcześniejszą jesień, więc szybciej chciały sobie zgromadzić na zimę zapasy, przeto znarowiły się do wyżej wymienionej cukierni i stamtąd zabierały, co się dało.

Po ich wyjeździe nastała cisza tak w cukierniach jak i w naszym ogrodzie. Najwięcej kłopotu swym niestosownym zachowaniem się sprawiły one naszemu kochanemu pasiecznikowi, ks. Piotrowi. On musiał postarać się o nowe miejsce dla nich, w dalszym ciągu ma wiele kłopotu,

bo musi je odwiedzać i zasilać materialnie.

Mówi on jednak, że ażeby brać, trzeba dać, daje więc obficie pszczółkom cukier, w nadziei, że będzie w przyszłości brał od nich miód. Widzimy go przy ulu jak z rozkoszą spogląda na swoje umiłowane istoty, jego kilkuletnia praca w tej dziedzinie ma wielką wartość.

Kronikarz.

Kronika – Miejsce Piastowe.

Już w jednym numerze zabrakło kroniki od nas i w strachu już byłem, czy też Redakcja nie wypisała groźnego apelu do kronikarza, ale dzięki Bogu upiekło się. Trzeba więc było teraz dobrze pilnować, żeby nie zapomnieć i nie spóźnić się. A zresztą kronika ostatnia tak bogata w wydarzenia, że szkoda, by zostawić ją w mgle zapomnienia.

Sierpień. 9 Dzień był piękny i urozmaicony. Rano orkiestra złożona ze strzelców udała się do Krosna na uroczysty obchód rocznicy marszu pierwszej Kadrowej, my zaś w domu też mieliśmy rozrywkę. Po południu przybyła do nas drużyna siatkówki z pobliskiego Suchodołu i rozegrała mecz towarzyski z Zakładem, przegrywając 2:0. Widzów zebrało się sporo, goście, nie speszeni przegraną, grali dalej, a choć i następne trzy partie przegrali, pozostawili jak najlepsze wrażenie.

17. Na „Dzień pracy", zorganizowany koło Sanoka w Załużu przez hr. Potockiego z Rymanowa, wyjechała wczesnym rankiem wycieczką w liczbie około 50 osób. Orkiestra przygrywała przy pracy nad wyrównaniem drogi leśnej, a kilkunastu naszych wiarusów wzięło się także do łopat. Zresztą sam p. min. Kasprzycki dał przykład. Wycieczka bez przygód nic nie warta. Tu ich nie zabrakło. Bardzo rano na stację Rymanów trzeba było drałować przez pola po rosie, skutkiem tego obuwie i spodnie nabrały smutnego wyglądu. Wieczorem zaś powrót wozami zakończył się małą katastrofą, bo skutkiem spłoszenia się jednego konia woz się wywrócił, a koń jeden wpadłszy do rowu, nie dawał oznak życia. Popędził więc goniec jakiś do Zakładu z wiadomością, że koń zabity. Ale na szczęście był to strach przedwczesny, bo koń wstał, ale gorzej było z trąbami, z których kilka pochorowało się na gwałtowny skręt wnętrzności, tak że musiały być oddane do specjalisty. zginęło też kilka ustników. Wypadków w ludziach nie było, tylko kilku potłuczonych na drugi dzień odpoczywało.

Już w dwa dni później grali nasi muzykanci w Rymanowie - Zdroju, gdzie odbyła się zbiórka uliczna wśrod gości. Trąbili zawzięcie i wytrąbili około 100 zł. Miny przy powrocie wybitnie zrzedniały.

W dnie powszednie młócimy, aż się kurzy! — Dosłownie. Kto zresztą zna młockę maszynową ten się temu nie będzie dziwił. Kurzu całe tumany unoszą się w powietrzu, przesłaniając w szybkim tempie stertę słomy. W gumnie wciąż zboża ubywa, za to w spichrzu przybywa, ale nigdy nie jest zadużo...

Niedziela 24. nie zapowiadała się dobrze. Pogoda była niepewna, a tymczasem po południu miał się odbyć festyn w Iwoniczu-Zdroju na podreperowanie finansów Zakładu. Koło południa wypogodziło się i po obiedzie wyruszyły wozy, wiozace orkiestrę, komików i organizatorów. Miejsce na festyn nie było najlepsze, bo nieogrodzone, zaraz przy drodze tak, że widoki były słabe: gapiów dużo, gości. mało. Ale koło wieczora znaleźli się i goście Najwięcej amatorów było na loterię fantową. Koła szczęścia strzelnica i bufet mniej już miały powodzenia brakło też i wędki szczęścia, gdzie kryły się najrozmaitsze niespodzianki. Orkiestra grała, festyn szedł coraz lepiej, gdy tymczasem wyszła mała chmurka, a spadł duży deszcz. Każdy chronił się, gdzie tylko mógł, byle na sucho przetrwać kąpiel niebieską, ale nie każdemu się to udało. Najgorsze to, że deszcz rozpędził gości i festyn trzeba było wnet zakończyć. Późnym wieczorem, wracający do domu, rozprawiali nad wynikiem festynu, czy przyniósł dochód, czy... Na szczęście dobrze się skończyło. Zebrano paręset złotych, za które Ks. Prefekt zakupił materiałów na bieliznę i ubrania.

Przez następne dwa tygodnie coraz to inne sypialnie przenosiły się pod gołe niebo. Nastał czas generalnych czyszczeń. Bielenie, szorowanie, itd. itd.

Z końcem sierpnia opuściło, nas 12 kolegów, udając się z dwoma klerykami do Pawlikowic na studia. Żegnaliśmy ich serdecznie, niejednemu oczy wilgotniały, ale nie dawał po sobie poznać! Z życzeniem „szczęśliwej podróży“ odjechali na stację. O tym, czy życzenie się spełniło, może coś sami napiszą.

Wrzesień. 3. Szkoła powszechna i wielu „nowych“ rozpoczęło 3-dniowe rekolekcje dla wyjednania sobie łask Bożych na nowy rok szkolny.

13. Najróżniejsze myśli i przepowiednie powstawały co do wyniku meczu piłkarskiego z Bóbrką, wyznaczonego właśnie na ten „feralny“ dzień. Jednak 13 była dla nas szczęśliwą, bo drużyna nasza wygrała 5 : 3, choć do przerwy wynik brzmiał 3 : 0 na korzyść Bóbrki. Nasi się później zawzięli i wygrali. Po meczu aż 2 fotografów amatorów zdejmowało zwycięzców, ale czy im się udało? Na najbliższy czas zapowiada się znów interesujące spotkanie z „Jedynastką” z Krosna i rewanż z Wróblikiem, z którym Pogoń ostatnio zremisowała 3 : 3. Czekamy teraz na ciekawe wiadomości od „Wiktorii” pawlikowickiej. *Kronikarz.*

Kronika z Dziatkowicz.

Redakcja „Naszego Życia“ kilkakrotnie już dopominała się, aby skreślić kilka słów o Zakładzie dziatkowickim. Zachęcony tym, że nasza kronika znajdzie się na łamach tak miłego pisemka (jeśli tylko odpowie wymaganiom Redakcji), zabrałem się do dzieła.

— Ale cóż napisać? - oto pytanie, które sądzę stoi przed każdym kronikarzem. Opinia ogólna domaga się prawdy, pamięć i polot chyba ustawicznie zawodzą, a obowiązek każe coś skreślić... trudno — to dola kronikarza.

Opowiem Kochanym Czytelnikom o życiu Zakładu dziatkowickiego od 1 stycznia 1936 r.

Czas zimowy spędziliśmy w zupełnej ciszy, monotonne życie przerywały tylko przedstawienia teatralne, które urządzali wychowankowie. Sport zimowy u nas jest dopiero w powijakach, a po drugie nawet nie ma potrzebnych do tego narzędzi, chociaż jest teren odpowiedni, a Ks. dyrektor nie mógł ich sprawić wskutek kieszeni dziurawych, jednak oceniając wielkie znaczenie sportu, postarał się dla nas o dwie piłki do gry, siatkę i teraz w czasie rekreacji i w święta, na równiutkich boiskach, otoczonych uroczemi sosnami odchodzi gra w siatkówkę, koszykówkę, krokiet, jak się patrzy. Zapraszamy pawlikowickich sportowców na mecz.

W czasie Wielkiego Postu nawiedził nasz dom smutny wypadek, otóż zmarł jeden z wychowanków i nasz dobrodziej, hrabia Antoni Jelski. — Cześć Jego pamięci!

Wiosna tegoroczna tchnęła w nas ożywczy i radosny powiew. Maj stanął w całym majestacie swej krasy. Promienie słoneczne rozlewały swe blaski na wsze strony. — I zdawało się, iż uroku ciszy majowej wśród lasów nic nie zamąci, a tymczasem nieoczekiwana wiadomość doszła nam do uszu. Starosta baranowicki w Zakładzie; otóż niespodzianie pewnego popołudniu zawarczało auto w lasku dziatkowicki... i stanęło przed domem. Pan Starosta zwiedził cały Zakład. W rozmowie z Ks. Dyrektorem w życzliwych słowach wyraził uznanie działalności Zakładu, a nawet życzeniem jego jest, by Zakład rozwinąć, gdzie chciałby umieszczać sieroty z Sierocińców baranowickich.

Cały prawie maj był suchy, dopiero przy końcu upragniony, drogocenny deszczyk orzeźwił spragnioną roślinność.

W dniu 17 czerwca niezwykłe ożywienie panuje w Zakładzie. Na drodze wiodącej do głównego domu wybudowano dwie bramy; na jednej z nich łopocą flagi papieskie i narodowe.

— Chłopcy tworzą szpaler — cze-

kamy i któż to ma przybyć do nas? Pasterz piński. — On. Biskup ma zawitać w nasze progi... jeszcze chwila; już nam błogosławi — przybył ,aby stężyć ewangelicznym słowem ducha najuboższych — sierót. I wstępuje wśród pieni melodyjnych „Ecce sacerdos magnus" do naszej ukwieconej kapliczki zakładowej. Po krótkim sprawozdaniu Ks. Dyrektora przemawia do nas Ks. Biskup, zachęca nas do wytrwania w dobrym, abyśmy w tym zaciszu zakładowym wyrośli na dobrych katolików, wiernych synów ojczyzny kochanej. Z kaplicy prowadzimy nasszego Gościa do sali teatralnej — tu odbyło się ogólne powitanie. Nazajutrz Ks. Biskup odprawił Mszę św., po której odbyła się uroczysta procesja z Sanctissimum. Po krótkiej przerwie, udzielił Arcypasterz Sakramentu Bierzmowania — znowu przybyło 40 rycerzy Chrystusowych. Na tym zakończyły się uroczystości kościelne. Następnie dostojny Gość w towarzystwie Ks. Dyrektora i Ks. Prefekta zwiedził Zakład. Po obiedzie pożegnaliśmy Arcypasterza wraz z Jego świtą. — Warknął motor limuzyny, auto ruszyło z miejsca i zniknęło w lasach.

21 czerwca zakończyliśmy rok szkolny uroczystą Mszą św., na której były również dzieci z okolicznych wiosek. Po tych uroczystościach, zabraliśmy się raźno do sianokosów, ponieważ pogoda dopisała, więc w przeciągu dwóch tygodni siano znalazło się w gumnie.

29 czerwca obchodziliśmy znów uroczystość zakładową — imieniny naszego Wielce Czcigodnego Ks. Prefekta Piotra Zawady. Po rannej Mszy św. zebraliśmy się wszyscy do refektarza. Na cześć Solenizanta zostały wygłoszone przemówienia, deklamacje, zakończone śpiewem, poczem Ks. Solenizant w czułych słowach podziękował za życzenia, zachęcając do współpracy. Trzeba jeszcze zaznaczyć, że w przed dzień został spuszczony na nasz staw statek, na którym śmiało może pomieścić się 8-miu ludzi. Łódka została artystycznie wykonana przez jednego z naszych wychowanków. Z tej racji mamy wielką wygodę, bo nietylko kąpiemy się, lecz także jeździmy na łódce.

Zbliża się wreszcie upalny lipiec, najbogatszy miesiąc nawet dla tych, którzy już od dłuższego czasu cierpią przednowek.

12 lipca zaszczycił nas swoją obec-



Dziatkowice: Wodny młyn.

nością ks. Generał Antoni Sobczak, w towarzystwie dwóch księży, ks. kanonika Puławskiego i ks. M. Karcha. Goście zabawili u nas przez trzy dni.

Przystępujemy do żniwa. Żniwiarka, która od dwóch tygodni stała zmartwiona przed kuźnią w reperacji, teraz wydaje hałaśliwe głosy i kładzie przodem zboże na ziemię. Dzięki sprężystym rękom i energicznym zarządzeniom, w szybkiem tempie zboże znalazło swoje miejsce przeznaczenia.

Ciąg dalszy napiszemy w następnym numerze, jeżeli Szanowna Redakcja niniejszej kroniki naszej nie pośle do kosza. **Kronikarz.**

Dziatkówice. Ogólny widok Zakładu.



Wykaz ofiar złożonych na Zakład sierot w Pawlikowicach.

JWP. W. Garnuszewski, Wr. 1 zł., JWP. A. Dudrewiczowa, Wr. 1 zł., Ks. Wiktor Klimek, Brz k. Niep., 30 zł., JWP. F. Broszkiewicz, Jędrz. 2 zł., JWP. Franciszek Arkuszewski, Mircze 2 zł., Ks. Leon Rafalski, Goźdz. 2 zł., JWP. Dr. Z. Dobrjom, Wr. 1 zł., JWP. Henryk Krzyżanowski, Żłk. 1 zł., JWP. Zofja Budzyńska, Wr. 2 zł., Ks. Jan Bronowicz, Br. 5 zł., Ks. T. Malewski, Grb. St. 3 zł., JWP. Jan Kozicki em. Major, Kr. 1 zł., JWP. Stefan Dutkowski, Wr. 1 zł., JWP. Józef Chorąży, Pdl. M. 1 zł., JWP. Stanisław Malecki, Ssn. 2 zł., JWP. Stefan Dembiński, Wr. 5 zł., JWP. S. Moch. Ssn. 1 zł., JWP. Anna Chromowa, Kr. 5 zł., JWP. Kądziołka Stanisław, N. Sącz 10 zł., JWP. Fr. Kaszubowski, St. Nsz. 2 zł., JWP. Marja Dihm. Kr. 5 zł., JWP. Fr. Ubanikowski, Gd. 1 zł., Ks. Woźnin, Kt. 5 zł., JWP. Karol Morcz, Czrt. 5.20 zł., JWP. Kamilla Bem, Wr. 5 zł., JWP. W. Cywiński, Wr. 6,50 zł.

Wszystkim ofiarodawcom niech Pan Jezus sowicie wynagrodzi w tym i przyszłym życiu. W każdej Mszy św. pamiętamy o naszych Przezacnych Dobrodziejach.

KS. STANISŁAW RYBUZA
Dyrektor Zakładu.

Adres Redakcji i Administracji:

PAWLIKOWICE, P. WIELICZKA, ZAKŁAD WYCHOWAWCZY

Pod tym adresem należy przesyłać artykuły, sprawozdania, materiały do różnych działów, listy i t. p.

Rękopisów Redakcja nie zwraca, lecz ważniejsze przechowuje.

Prenumerata roczna w kraju zł. 2·20, kwartalnie 60 gr.
Cena pojedyńczego egzemplarza 25 gr. — zagranicą 4 zł. p.

Wszelkie wysyłki pieniężne należy przesyłać czekiem do P. K. O. w Krakowie na konto Nr. 404.854.

Wydawca: Zakład Wychowawczy w Pawlikowicach.
Redaktor odpowiedzialny: Ks. Stanisław Kot.